ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Lipca — Nr 31. — Roku 1842.

Wspomnienia wojskowe.

V.

W roku 1808 w porze jesiennéj, kiedy łagodniejszém powietrzem można oddychać w krajach Iberyi u stóp gór pirenejskich, niedaleko miasta Wittoryi; śród rozkosznych ogrodów, ocienionych rozłożystémi kasztanami, rozlégał się wesoły śpiéw nadwiślańskich szeregów; były tam dwa szwadrony pułku gwardyi polskich ułanów, przeznaczone do tylnéj straży korpusu marszałka Bessiéra, który po odebranéj wiadomości o opuszczeniu Madrytu przez króla Józefa, z korpusem swoim z nad granicy portugalskiéj cofnął się do prowincyi biskajskich, a tam osadziwszy bitnym żołniérzem warowne wąwozy, oczekiwał spokojnie po ciężkim boju i trudach obozowych, przybycia Napoleona.

Słońce zaszło pogodnie za ostro-kończystémi i olbrzymiemi Pirenejami, niebo okryło się ciemniejszym błękitem i wkrótce nastał wieczór cichy i łagodny, a z nim nastała spokojność w całéj okolicy, lecz w obozie polskich ułanów widać było ruch ciągły, ognie żywiéj zabłysły; jedni żołniérze czyścili broń, drudzy opatrywali konie, tu ujrzałeś kilku Hiszpanów z ponurém wejrzeniem prowadzących muły obciążone worami kukurudzy lub jęczmieniem na pokarm dla koni, albo skórami koziemi napełnionemi winem, tu zastawione przy ogniach blaszane kociołki, tam znów zatknięte błyszczały proporce; lecz największy był ruch około wózka markietanki; tam kilkunastu zebranych żołniérzy, śpiéwali zwrotki wesołych okolic Krakowa, tam przypominali sobie marsze, przygody obozowe i bitwy krwawe, w których się znajdowali, tam zapominali tęsknoty za krajem, rodziną, kochankami, zapominali nawet, że już nie jednego z kolegów przykryła obca mogiła; śród téj wesołości żołnierskiéj, która najtwardsze przygody z każdym dniem puszcza w niepamięć, a przyszłość zawsze tworzy w jasnych kolorach, widziałeś samotnie przechadzającego się młodzieńca w oficerskim mundurze; smutek ciężki widać było w całéj jego postawie, a łza w oku i mimowolne westchnienia, malowały dobitnie obraz jego duszy; weseli koledzy szanowali jego samotne dumania, i jedynie ściśnieniem ręki okazywali mu wzajemność uczuć, wiedzieli bowiem, że srogi cios, który dotknął jego dotąd zawsze wesoły umysł, tylko czas, brzęk oręża, i przyjaźń kolegów, złagodzić potrafią—, stracił on przed kilkunastu dniami brata w bitwie pod Rioseco, z którym od lat dziecinnych nigdy się nie rozłączał, a tak wspomnienia dni szczęśliwych młodości, wspólnéj chwały wojskowéj, trudów, nadziei—jeden wystrzał zerwał na zawsze!

Kiedy noc późna nastała, ognie przygasły, a żołniérze dziennym trudem znużeni, używali spoczynku, on jeden nie zmrużył powieki, przechodząc smutną myślą dni swobodne, w których niedawnym czasem, wspólnie z bratem, opatrywał w katedrze Burgos, zbroje i miecz mężnego Cyda lub spoglądając na spaniałe pomniki z wieków maurytańskich, przenosili się myślą w owe czarujące i romantyczne czasy Abenzeragów —, odbiegły łudzące marzenia, teraz sam, widział tylko istotne gruzy, grobowce, wspomnienia!— Kiedy tak w smutnych myślach pogrążony, bezsennie spoczywa, dał

się słyszeć śród ciszy nocnéj na przednich czatach, głos: »Kto idzie!« powtórzony kilkakrotnie, i w krótkim czasie przybył oficer z kilkunastu ułanami do obozu; byłto patrol nocny, wysłany z innych szwadronów; komendant oddziału ujrzawszy samotnego młodzieńca, zeskoczył z konia, a przybiegłszy do niego, rzekł: »Kochany kolego, mam ci zwiastować najprzyjemniejszą nowinę, brat twój żyje.« — »To być nie może!« odezwał się strapiony, lecz zarazem w duszy jego zabłysła miła nadzieja. — »Tak jest, żyje«, powtórzył jego kolega, a na dowód mam z sobą żołniérza, który ci opowie w szczegółach to smutne a razem szczęśliwe zdarzenie.« — Za danym znakiem, przystąpił żołniérz silnéj postawy, twarz jego zdobiła krésa świeżo zagojona, a pierś, krzyż wojskowy. Po zwykłym ukłonie żołniérskim, tak mówić zaczął: »Brat pana porucznika żyje, byłem z nim razem w szpitalu wojskowym w Palencyi, a teraz dla ciężkich ran, został odesłany do Bajonny, zdarzenie było następujące: Kiedy przy końcu bitwy pod Rioseco, powtórnie uderzyliśmy na karabinijerów konnych gwardyi hiszpańskiéj, marszałek Bessiér widząc, że nieprzyjaciel ustępuje z placu, kazał go ścigać na całéj linii, zostawiwszy na pobojowisku oddział piechoty z chirurgami, dla zrobienia porządku z poległémi i rannémi; między piérwszémi kilku naszych żołniérzy pochowano, a kilku rannych gdzie i ja byłem, zawieziono do szpitalu wojskowego w Palencyi; brata zaś nigdzie nie znaleziono, i to było silnym powodem do wieści o jego śmierci; w kilka dni przybył do tego miasta drugi oddział rannych na wozach pod zasłoną kapitana francuzkiego od woltyżerów, gdzie z radośném zdziwieniem ujrzeliśmy i brata pana porucznika, smutny jednak był widok patrzyć na niego: głowę bowiem miał bardzo zrąbaną, dwa palce u prawéj ręki odcięte, i nogę zranioną; przytém tak był zmieniony i słaby, że zaledwie mogliśmy go poznać, lecz w dni kilka przy troskliwém staraniu lékarzy francuzkich, a nadewszystko przy sile młodego wieku, zaczął przychodzić do zdrowia i wtenczas nam opowiedział swoje krwawe przygody w tych słowach:

Kiedy szwadron, w którym się znajdował, powtórnie na kawaleryją nieprzyjacielską uderzył i rozprószonych Hiszpanów ścigał w różnych kierunkach, on raptownie w wąwozie został otoczony przez kilku karabinijerów konnych. Natarcie było silne i przemagające, mimo tego bronił się z rozpaczą w nadziei prędkiéj pomocy, lecz kiedy żołnierze nasi unieśli się w inną stronę, a on cięty w rękę upuścił pałasz i koń ugodzony śmiertelnym wystrzałem z pistoletu, padł pod nim; wtenczas karabinijery leżącemu na ziemi, zadawszy w głowę kilka śmiertelnych ciosów, uszli za swoimi, a on okryty ranami, bez zmysłów obok swego konia, przez noc całą leżał, bez żadnego ratunku; ze świtem, gdy cokolwiek odzyskał przytomność, usłyszał głos ludzki; myśląc, że koledzy przychodzą mu w pomoc, zaczął się dźwigać, lecz niestety! zamiast kolegów, ujrzał kilkunastu chłopów hiszpańskich z dwoma mułami, niosących z pobojowiska różne sprzęty wojskowe; dostrzegłszy rannego i widząc, że jeszcze żyje, rzucili się z krzykiem zemsty, chcąc go zamordować, lecz jeden, poznawszy mundur, zawołał: »Dajcie pokój, to jest Polak!« te słowa złagodziły dzikich Hiszpanów; wziąwszy go na muła, przyszli z nim do rozległéj włości, gdzie go oddali do klasztoru, lecz tam zamiast ratunku, został wtrącony do ciemnego lochu, a tak straciwszy ostatnią nadzieję, znękany na ciele i umyśle, oczekiwał oziemble chwili, która miała zakończyć jego niedolę. Gdy szczęśliwym zdarzeniem w parę dni po tym wypadku, przechodził kapitan francuzki z rannémi (o którym mówiłem), i pod tą samą wioską w gorących godzinach południa, kazał wypocząć żołniérzom; na wieść przybyłych, uradowani Hiszpanie, wybiegli tłumem z wioski, chcąc się nacieszyć widokiem rannych Francuzów, lecz w téj zgrai szyderczéj różnego wieku i płci, była młoda Hiszpanka, która pod pozorem widzenia z-blizka obozu, przebiegłszy obok komendanta oddziału, wyrzekła prędkim lecz cichym głosem te słowa: »W klasztorze jest Polak«, a przyłożywszy palec na usta, na znak milczenia znikła w tłumie ciekawych; zrozumiał ją kapitan francuzki, wziął dwunastu żołnié-

rzy, poszedł do klasztoru i przemocą wydobył z ciemnego więzienia nieszczęśliwego.« Tu przestał mówić żołnierz, a smutek i radość cisnęły się na przemian w uczucia młodego oficera.

W roku 1810 wkroczył powtórnie oddział pułku gwardyi polskich ułanów do Hiszpanii, a staczając częste bitwy z geryllasami, przechodził północne prowincyje w różnych kierunkach, z każdym dniem zmieniał miasta i wioski, to w dzikich górach Alawy, to w rozkosznych dolinach Nawarry, to znów na rozłożystych polach Kastylii przechodził pod Rioseco obok mogiły swych ziomków; spoczywał pod murami klasztoru we włości owéj szlachetnéj Hiszpanki, lecz żaden z Polaków nie mógł jéj ujrzeć.

Jakież uczucie podało jéj myśl do tak tkliwego uczynku? zapewne nie nadzieja pochwały — może znajomość lub miłość? — o nie, — litość kobiéty odezwała się silnie w jéj duszy, litość kobiéty wykonała ten czyn cnotliwy, lecz za to jak miłą nagrodę uniosła w swém sercu na całe życie! *S. H.....*

WRÓŻKA.

Nie dawno temu zgadało się w jedném towarzystwie o wróżkach, a to z powodu pewnéj słynącéj bohatérki tego zawodu, którą bez wątpienia nie mało z mych czytelniczek jawnie lub skrycie, z mniéj więcéj zaufaniem widziało i ciekawie słuchało. Otóż jak i między państwem, kiedy się przypadkiem zmówicie razem o waszych jéj odwiédzinach, postrzeżeniach i sądach, nie jedne panują zdania, tak i w owém towarzystwie wielce się o tém rozgadano, o ile jedni więcéj gorących życzeń do prawdy jéj przypowiedni łączyli, drudzy lękając się spełnienia jakiego niemiłego proroctwa, żartami a czasem i filozofiją tę jéj niemylność zbijali. I niestety, jak zawsze tak i teraz było więcéj takich, których życzeniom niebezpieczeństwo groziło, a zatém i więcéj głosów potępienia niż obrony. Sprawa wróżczyna upadała.

W tym stanowczym momencie wszedł był jakiś stary jegomość, dotychczas w drugim pokoju spokojnie wista grający i przemówił do dysputujących:

»O wróżkach? Ino mi państwo na wróżki nie gadajcie; na to nie pozwolę. Nie prawda Franiu?« dodał z odwołaniem się na jakiegoś równie starego towarzysza, który wszedł także z nim do salonu; »nie prawdaż? co mam najlepszego, tom wróżce winien: nie gadajcież mi państwo na wróżki.«

Tém poratowaniem upadającéj strony, zgromadził kochany stary pan Tadeusz wszystkie wróżczanki około swego krzesełka, i już wpół rozproszone w nowy, mocny zastęp zformował. Przeciwnicy jednak wróżki nie pierzchli, i tymczasem kiedy swoi i swoje, przymileniami, pieszczotami, głaskaniem zachęcali starego facecionata do boju, oni go na dowody wyzwali.

»Mówię wam«, rzekł pan Tadeusz, »że sam wróżce szczęście mego życia zawdzięczam, najlepszym więc dowodem moje własne zdarzenie.«

»Tylko prosimy! prosimy!« odezwali się hardo przeciwnicy, a pochlébiając swoi. Stary się przysunął do swego równie starego, ale mniéj żywego towarzysza i zaczął:

»Kiedym mówił o szczęściu, myślałem moję żonę, to jest dobrą żonę.« Tu spojrzał z miłośna na swoję tam w górze na kanapie między matronami siedzącą, ogromnie zaczepioną małżonkę, i zasławszy jéj wdzięczne pocałowanie ręką, ciągnął daléj: A już tuj — tuj com się z mojém szczęściem nie minął.

Oto właśnie trzydzieście ośm lat temu, jakem szkoły skończył i powrócił do domu. Lubo niezmiernie gorący i raptus, miałem przecie pewny poważny już statek, i dostałem jedną wioskę od ojca, aby niby ją od niego dzierżawiąc, gospodarstwa się na niéj nauczyć. Mój ojciec zawołany gospodarz, gospodarował w swoich dobrach, kilka mil od moich Miednik leżących; ja pasyjonowany miłośnik wiejskiego życia, a przytém niezmiernie czynny i przedsiębierczy, i, jak już mówiłem raptus, chciałem jeszcze ojca przewyższyć i zająłem się z całéj duszy mą wioską. Miesiąc, dwa, nawet z pół-roku to uszło, ale potém jak nie dziw, zaczęła głowa ostygać, próżne tak długo serce zaczęło się swéj należytości domagać i tém gwałtowniéj nabrzmiało.

Otóż o kilka mil z drugiéj strony odemnie mieszkał znowu nieboszczyk stary pan Łęcki, opiekun panny Teresy Urbańskiéj, która z nim razem przy jego starszéj jeszcze siostrze żyła. Staruszek dobry, przyjaciel i częsty bywało gość mych rodziców, lubiał mię jakby własnego syna i nieraz téż jeździłem to w własnych, to rodzicielkich interesach do niego. Pannę widziałem dawno, skorom tylko osiadł w Miednikach, ale zaprzątniony mémi gospodarskiémi planami, nie uczułem na widok jéj anielskiéj piękności i dobroci nic szczérze więcéj, prócz samego zimnego uszanowania. Kochać się, żenić się, w 22. roku, było wtedy podług mego zdania, samobójstwem, dzieciństwem; anim téż o niéj po-

myślał, tylkom karmił woły, pędził wódkę, palił cegły, stawiał cerkwie, karczmy i tak daléj.

Ale po pół roku, kiedy serce się zteskniło, zebrała mię chętka odwidzenia pana Łęckiego i pojechałem na jakieś imieniny, pamiętam. Boże! jakaż mi się luba ta panna Teresa wydała; bo to niby swywolne dziecko, niby skromna panienka, niby pobożna, święta a taka przytém figlarna, a taka piękna z swą białą twarzyczką, ciemnym łokiem i czarném strzelistém okiem. Zakochałem się na śmierć, formalnego zapalenia serca dostałem. Panna Teresa była taka miła, tak uprzejma, tak się wciąż koło niéj kręciłem, że ani sposobu, myślałem, aby mię nie postrzegła i nie została wzajemną. Wiedziałem przytém że choroba serca zaraźliwa, i tak mile przyjęty, z żalem żegnany, wróciłem inny człowiek do Miednik.

Gdzie tam już rachować, mierzyć, wydawać! W każdym worku, w każdéj kadzi, na każdéj cegle, na każdém drzewie, wszędzie mi się panna Teresa zjawiała. Och, gdyby ją tu módz zawieść, dumałem, tubym dwór dla niéj wystawił (bo mieszkałem jeszcze w gorzelni), tubym ku wzgórzu ogród założył, tubym to, tubym owo dla niéj zrobił.... I czemuż nie, mówiłem daléj do siebie, taka dobra dla mnie, nie bogatsza odemnie; opiekun mię zna i lubi... tylko wpadło mi nagle na myśl, tylko trza i daléj gospodarzyć, tak dobrze, jak wprzódy, aby sławy nie stracić, a przedewszystkiém trza tam dla przekonania pojechać, aby nie pracować na darmo; bo jeźliby to nie miało być dla niéj,—to wolę wszystko porzucić; na co darmo młode lata tak trawić—ot wojna! Ale przódy pojadę.

Ale jakże skromnie mię przywitała, a przecie już tak po znajomemu, jakbyśmy wieki się znali. Co ja myślał to i ona myślała, co jéj się podobało, i dla mnie było najmilsze. Wneteśmy nie mogli patrzyć na siebie bez miłego uśmiéchu, a nie zadługo śmieli się i inni kiedy na nas patrzyli. Przytém kochany staruszek traktował nas jak rodzeństwo, stara jego siostra szacowała mię mocno; wszystko tak naszemu przywiązaniu się sprzyjało, że wkrótce ani ja bez niéj żyć nie mógł, i ona na mój przyjazd czekała.

Będąc jeszcze w szkołach, teoretykowałem sobie: że tylko niewzajemna lub nieszczęśliwa miłość, może się stać namiętnością. Jakże inaczéj znalazłem! Mógłem mieć najpochlebniejsze nadzieje, rodzice moi, sami podobnoś starali się z nią mię zapoznać, i chętnie na naszą wzrastającą miłość patrzyli, zgoła nie było ani niewzajmu, ani nieszczęścia, a przecie ani chwilki spokoju, ani spać, ani robić! Mimo najlepszych przedsięwzięć, zaniedbałem gospodarstwo, a nie mogąc wciąż tylko jeździć do niéj, latałem po całéj okolicy, aby tylko chwilę jéj niewidzenia ukrócić.

W jednéj takiéj przejazdce zajechałem do pewnego poblizkiego miasteczka, gdzie sławna wróżka mieszkała. Dawny wydrwiwacz zabobonów, poszedłem teraz do niéj z prośba o wyłożenie kabały. Między innémi dała mi zwykłe kawalerskie proroctwo, że się wkrótce ożenię. Uwierzyłem, ucieszyłem się, wywdzięczył od serca i powróciwszy do domu, poleciał zaraz z miłą nowiną do lubki. Wesołe uśmiéchnienie przyjęło tę skrytkiem wszeptaną jéj przepowiednię, a dziecinne jéj serduszko uwierzyło w nią, i nie tak jak ja pół-żartem, ale nabożnie i świecie. Śmiałem się z jéj wiary, ale nie wyroczni, bo cóż się innego stać mogło? Nas samych byliśmy pewni oboje, rodzice nasi musieli być temu radzi, krótko, jak gorąco sobie tego życzyłem, takem téż nic innego, prócz ślubnego końca mego romansu nie widział. Zostało tylko formalnie pozwolenie moich rodziców uprosić, a i do tego dawały nadchodzące wielka-nocne święta, którém zwykle u rodziców przepędzał, zręczną nader okazyję. Jakoż umówiwszy się z Teresią i dowiedziawszy nadto z radością, że się opiekun z nią w święta na wizytę do moich rodziców wybiéra, a zatém nie będziemy przecie samotni, wybrałem się jeszcze w wielką środę, i na cały tydzień pojechał.

Ale cóż się dzieje! Napomykam powoli, zbliżam się do méj prośby, wyjeżdzam wreszcie z nią na jaw, a moi rodzice — cieszą się moim zamysłem, winszują tak szczęśliwego wyboru, błogosławią moje posłuszeństwo, ale wyrozumiawszy należycie mój gwałtowny charakter i zbytnie teraźniejsze moje uniesienia miłośne, radzą i każą—czekać. Takie gwałtowne kochanie przed ślubem, powiadają, stygnie dzień po zamężciu; już nie jeden tego przykład nauczył; więc—czekać.

»Masz dopiéro 22 lat mój Tadziu«, mówili mi ojciec i matka, słodząc wszelkiémi uprzejmościami gorycz mądréj swéj rady; »ona szesnaście, poczekajże ze trzy lata, jeszcze się dużo może odmienić. A jeżeli potąd wasza się miłość nie zmieni, więc dobrze, żeńcie się. Co teraz Tadziu, to nie pozwalamy na to.«

Nicem nie mówił. Cóż było robić! Zadawano mi młodzieńczą prędkość: najmniejszém piśnieniem byłbym jeszcze więcéj podejrzenie zwiększył. A jak mi matka do zrozumienia dawała, było się można od jednego spokojnego czekania spodziwać zmniejszenia wyznaczonego terminu; być bowiem nie posłusznym ani mi przez myśl nie przeszło. Z najczulszém zatém

posłuszeństwem, podziękowałem za surowy ich rozkaz i nad ich własne oczekiwanie spokojnym i poważnym zostałem.

»Ależ trzy lata czekać! Nagle z przed ołtarza być skazanym na trzy lata więzienia! I zimno, spokojnie jéj to saméj powiedzieć! Biédna Teresia! myślałem; jakżem się cieszył, że ją jutro nowiną pozwolenia powitam; a ona tylko na swoję i moję mękę tu przyjedzie.

Istotnie przyjechał nazajutrz opiekun z Teresią i zostali jakby już swoi przyjęci. Jak moje rodzice z staruszkiem, tak moje siostry znały się dobrze z moją lubką. Dobrze się zatém wszyscy bawili, prócz mnie jednego, który musiałem szukać chwilki, aby Teresi po tém przyjęciu, wcale się czego innego spodziéwającéj, smutny skutek moich starań oznajmić. Spuściła biédaczka głowę i patrząc mi się posępnie w oczy. »A wróżka?« zapytała mię smutno. Wtedy dopiéro przypominałem sobie ową daną mi przepowiednię, i z boleścią postrzegłem, jak ona głeboko w dziecinnéj myśli mojéj kochanéj utkwiła, a teraźniejsza sprzéczna wiadomość razem z nienaruszoną wiarą w tę wróżbę, złowrogiémi myślami ją napełniła. Myślała sobie bowiem, że niemogąc się z nią aż po trzech latach ożenić, a że mi wróżka prędkie przepowiedziała ożenienie, więc się pewnie nie z nią ale z kim innym ożenię, że ją tymczasem zapomnę, porzucę, wszystko to tém prędzéj, iż już też sam rodzicielski postępek na moję raptusowatą niestałość wnosić jéj kazał. Straciła więc smutna wszelką nadzieję nagle, i mimo usilnych starań nie mogła skryć swéj zgryzoty. Daremne moje pocieszania, a udawana spokojność tylko ją jeszcze więcéj w jéj podejrzeniu o mojéj niestałości i widocznéj już teraz oziębłości wzmacniały i jeszcze bardziéj zgryzły.

Nie wiedziałem już co począć. Zachmurzę się, to ujrzę wnet śledzące oko i niebezpieczną minę ojca lub matki; zaśmieję się: już widzę, jak moja dziéwczyna smutno główkę swą spuszcza. O przeklęta wróżko! gniewałem się na nią za wszystko, a nie mogąc to wszystko ani rodzicom, ani mniéj jeszcze mojéj lubéj mieć za złe, na wróżkę cały gniéw méj zwróciłem.

Lecz cóż jéj zrobię? Wydrwię ją i wyśmieję i takim najdotkliwszym sposobem wiarę w nią mojéj biédaczki osłabię. Powoli wyprowadziłem rozmowę o niéj z ścisłych obrębów naszéj pokątnéj miłośnéj pogadanki coraz daléj w powszechną rozmowę całego towarzystwa i niemiłosiernie wyszydzać wróżki zacząłem. Jakby w zmowie ze mną, zaczęli wszyscy żartować z wróżek i ich kilku stronników, do których, jak wnet poznali, i panna Urbańska należała. Z mężczyzn sam oto ten filozof—tu wskazał mówiący na swego starego towarzysza — sam ten filozof, który wtedy dla miłości ku jednéj z sióstr moich co święto i okazyja swoje uszanowanie moim rodzicom składał, i tego dnia też przyjechał, sam ten filozof psuł mi całą sprawę, przywodząc z wyrazem najrzetelniejszego przekonania jakieś głębokie niepojęte pomysły o fizyjognomice, magnetyzmie i niezbadanych cudach natury, co im niepojętsze, tém bardziéj biédną Teresię w jéj przykréj wierze stwierdzało. Zniecierpliwiony zatém rzuciłem się w ostateczność, i zapewniwszy się wprzódy wsparcia mojéj matki na stronie, zaproponowałem ze śmiéchem: przekonać się samym.

»Wróżka z tąd niedaleko«, mówiłem, »jedźmy tam jutro wszyscy jak jesteśmy, będziemy mieli zabawkę!«

Wszyscy prawie przystali, sam mój przyjaciel filozof, cieszył się tą psychologiczną exkursyją, kiedy przeciwnéj strony panie podszeptami panny Teresy natchnięte, lękliwie na to kuszenie wróżbickiego ducha powstały, i mniemając, jak bywa, że przez bronienie swoje tego ducha i praw do władania jego własną bronią nabyły, mnie osobliwie, jako autorowi tego bluźnierskiego zamachu, najgorsze skutki wróżyły. Nie mógłem się nawet śmiać z tego, bo zgryzło mię, żem tém płochem wezwaniem pomnożył jeszcze niespokój méj kochanki, która litośném swojém spojrzeniem zdawała mi się prosić: Nie narażaj się Tadziu!

Bądź co bądź, jednak myślałem sobie niebacznie, tém się lepiéj wylęczy, i jużem ułożył wszystko do jutrzejszéj wyprawy. Sami nawet starzy, nastrojeni od mojéj dobréj matki, przyczyniali się do téj młodzieńczéj swywoli. Jam umyślnie unikał spotkać się dzisiaj z Teresią i tak czekaliśmy jutra.

Nazajutrz, ja z moim ciekawym Franiem pojechaliśmy przodem, aby porobić przygotowania do przyjęcia reszty towarzystwa, które chciało tu do wieczora zabawić. Co zrobiwszy pobiegliśmy jeszcze do wróżki. Mieszkała ona na samym końcu przedmieścia, w bardzo ładnym, zewsząd ogrodem otoczonym dworeczku. Chcemy wchodzić przez fórtkę, nie puszcza jakaś służąca, powiada, że są goście u pani. Czekamy więc niechętnie; ale lubo goście już od kilka godzin są u niéj, nie możemy się doczekać ich odejścia. Zgniewałem się, przypomniał przestrogi Teresi i zaczął lękać, abym się, nie widziawszy wróżki przed niémi, do prawdy w moich planach nie zawiódł. Nareszcie po krótkiéj naszéj po ogrodzie przechadzce, wyszli wróżczyni goście, a my kwaśni pospieszyli do niéj.

Zastaliśmy ją w małym skromnie umeblowanym, ale czystym pokoiku, w oknach pełno wazonów, które cień na cały pokój rzucały, na komodzie mnóstwo klatek z szczebiącémi ptakami, koło łóżka kilka książek, nad łóżkiem maleńka minijaturka w złotych ramkach z wyobrażeniem jakiegoś przystojnego lubo podeszłego mężczyzny. Sama wróżka, kobiéta dobrze podstarzała, dobréj tuszy, choć śniadéj twarzy, z ostremi kątowemi na niéj rysami i przenikliwém siwém okiem siedziała na kanapie, podparta o stojący przed sobą stolik, jakby po długiém natężeniu znużona.

»Czémże mogę panom służyć?« zapytała nas szepleniącym cokolwiek głosem i z widoczną niechęcią, która jeszcze mi bardziéj dopiekła.

»Pocieszyć nas, pocieszyć nas!« zawołał Franio z żartobliwém przymileniem się prośby, widząc, że ja już gniewnie milczałem, i zbliżył się pokornie poufale do wróżki.

»Darujcie panowie«, mówiła skrzywiona »alem mocno strudzona; nie mogę.« — Z zachmurzoném czołem postąpiłem do okna i patrzył na dwór ponuro, gdy Franio tymczasem coraz ją pochlebniéj, grzeczniéj i żartobliwiéj choć o kilka słówek upraszał.

»Umyślnieśmy przyjechali z daleka«, mówił błagając, »takeśmy pani pociechy twojéj potrzebni, a jutra czekać nie możem«, i kiwnął prosząc głową, na mnie ponurego i już tuj tuj pożegnać ją gotowego wskazując. Wróżka się uśmiéchnęła i widząc, że mi już nie daleko do wychodu, w gniewie po długich, długich ceremonijach przystała i usiąść koło stolika prosto przed sobą prosiła. Niechcący już prawie usiadłem, i wyglądając niespokojnie oczekiwanych naszych gości, niecierpliwie rzucałem w około oczyma.

»Uspokój się pan«, rzekła postrzegająca mój niepokój wróżka, głuchym wciąż i zmęczonym głosem, »to zabawka tylko, nie spodziéwam się, abyś pan temu wierzył.« Nicem nie odpowiadał, alem zaczął miészać leżące przedemną karty, dla przyspieszenia i zmiészawszy je i złożywszy, położyłem je niecierpliwie przed nią.

»A ten pan czy może słuchać?« zapytała daléj solennie ze spojrzeniem na Frania.

»I owszém, proszę go«; odrzekłem. Franio usiadł z-dala od nas na boku, jam się dla zakrycia twarzy, podparł ręką na stole, wróżka rozkładając zwolna karty na wywrót, spoziérała po mnie i kartach. Nastąpiła chwila milczenia.

* * *

»Panie Tadeuszu! panie Tadeuszu«, ozwało się kilka głosów z drugiego pokoju, wołając opowiadającego do siebie; »prosimy, masz karty; chodź, siadaj.« —

Musiał wstać pan Tadeusz. »Przepraszam, przepraszam«, rzekł do grona słuchaczy, »starsze prawo woła, muszę koniec odłożyć na późniéj.«

»Nie można, nie można!« — obstąpiła niepuszczając go młodzież; »nie można kochany panie Tadeuszu; jakże nas w połowie porzucać?«

»Oto pan Frańciszek«, wyręczał się zatrzymywany stary; »on był przy tém, niech wam resztę dopowie. Dokończ, dokończ Franiu!«

Uspokojeni ciekawi, zwrócili się teraz do starego kawalera, pan Tadeusz posunął gdzie go wołano, a pan Frańciszek ciągnął daléj.

* * *

Ale wymowne było to milczenie. Przyznam się państwu, że czekając rozpocząć się mających wyjawień zimny dreszcz mnie przechodził. Nawet sam Tadzio był niemniéj odemnie wzruszony. Przyjechał żywy i wesół choć się pogniewał, to prędko znowu ochłonął, lecz teraz siedział tak ponury i trwożny, jakby się czego wstydził, jakby się czego lękał. Wybrał sobie karty; wróżka je rozkładała i zwolna jednostajnym głosem, najprzód przygotawawcze, charakterystyczne wypowiedzi dawała.

»Prędkiś pan bardzo. Lada czego się burzysz. Ale wnet ostygasz«, mówiła każdym razem niby z uśmiéchem spoziérając na niego. »Jakiegoś listu wyglądasz. Lubisz szatynki. Zapalonyś w miłości«, i coraz żywiéj i bystrzéj spoglądało jéj oko, rozbrzmiéwał się głos jéj i śniada cera występująca czerwienią się rumieniła. »Ot tu twoja szatynka«, ciągnęła daléj pokazując palcem czerwienną damę. »Młodziutka. Ale jakiś stary między wami. Przecież nie bójcie się go; on wam dobrze życzy. Nie prawda! Ale ja nie wiém«, zakończyła raz piérwszy po krótkiéj chwili namysłu; »tak teraz karta pokazuje«, i rozrzuciwszy karty, dała mu je do zamieszania. Musiał koniecznie twarz odkryć. Była ona widocznie zasępiona i surowa. Zamiészał, złożył i położył znów karty; wróżka wykładała daléj, a coraz żywiéj i prędzéj.

»Mocnoś pan czegoś niespokojny. Choć się starasz przekonać; i spojrzała na niego. »Cóż to jest? kochanka twoja cię kocha«, powtarzała głośno i jakby bez związku. »Ale ty o czém innem myślisz. Widzę drugę przy tobie. Nie piérwszy raz kochasz. Miesza się w kartach jak w tobie.« I znowu jakby w gniewie pomiészała karty i dała Tadeuszowi. Na odsłonionéj jego twarzy malowało się pomiészanie, które on na próżno zmuszonym śmiéchem, chciał pokryć, a które pod jéj coraz bystrzejszym i przenikliwszym wzrokiem jeszcze bardziéj wzrastało. Zdziwiony na nich patrzyłem. Wróżka po raz trzeci i to coraz nagléj, gdyby natchniona zaczęła:

»Drugi raz kochasz. Jakiś stary pan między wami. Prawda?« zawołała, tu mierząc go szybkim i nie pytającém ale pewném swego, spojrzeniem. Tadeuszowi głuche westchnienie wydarło się z pod ręki; ja siedziałem zmięszany, bom nic nie rozumiał z wszystkiego, ale widział przyjaciela wzruszonego i ciérpiącego na prawdę. Tymczasem wróżka ciągnęła:

»Stoi między wami i trąca cię nazad do twojéj piérwszéj kochanki. Tyś ją zapomniał, ale co cierpisz, to dla niéj. Lecz się opamiętaj.« Jeszcze raz zmięszała karty i mówiąc spokojnie: »Tak tutaj w kartach, nie wiem czym zgadła«, oddała mu je znowu. Już nie odsłonił twarzy, jakieś gwałtowne łkania nim trzęsły, pomięszał bezładnie jedną ręką i znów się zakrył nią całkiem, ale mimowolne jęki zdradzały dostatecznie stan jego. Jam już ledwie wysiedział na szpilkach. Odkrycia wróżki lubo zadziwiające, były za nadto do jego burzliwego, w sobie samym zamkniętego charakteru podobne, i za nadto mię niezwyczajna, lecz jakaś szczéra osoba wróżki ujęła, abym nie wierzył temu, co z resztą jego własne wzruszenie najdobitniéj stwierdzało. Tylko jak się to skończy? myślałem, czy mam wzburzyć do reszty, i najgwałtowniejszych scen czekać, albo przerwać i gwałtownie z tąd uwieść? Wszystko równie niebezpiecznie się zdało; a tu wróżka nie zatrzymana mówiła:

»Dla Boga! co pan chcesz zrobić! Nie rób pan tego! nie rób pan tego.«

Tadeusz skoczył z krzesła i uderzył głową o okno, jam się zerwał także, a wróżka rzuciła karty, przybiegła do mnie i chwyciwszy mnie mocno za rękę: »Pan jesteś jego przyjacielem«, rzekła, »strzeże go, na Boga! Jego życie na jednym włosku wisi.«

»Tadeuszu!« krzyknąłem biegąc do niego gniewny, że sądząc się jego przyjacielem, tak małom jego zaufanie posiadał. »Tadeuszu! cóżcito! opamiętaj się.« — Jednak zbudzony mojém targnieniem go za ramię, ani słowa nie odrzekł, tylko trzasnąwszy się w twarz pięścią, wyleciał jak szalony z pokoju.

»Bież pan za nim«; popchnęła mię osłupiałego wróżka i wybiegłem go szukać. Ani go na ulicy ani w ogrodzie nie było. Ledwie wiedząc gdzie lecę, tak zdumiony i przerażony, co chwila oczekując wystrzału a nigdzie Tadzia nie zdybawszy, zabiegłem aż do miasta i do oberzy, gdziem się go spotkać spodziéwał, a gdzie nasze przybyłe już towarzystwo od dawna na nas czekało.

»Nié ma tu Tadzia?« wołałem wpadając jak pomięszany między nich na salę.

»Dla Boga cóż się stało?« spytała przestraszona matka i jakby jednym żalem pociągnieni, obskoczyli mię wszyscy, rodzice, stary opiekun, siostry i pobladła jak chusta panna Teresa. »Cóż się stało? Cóż się stało takiego?«

»Byliśmy u wróżki«, bełkotałem zdyszany, »powiedziała mu wszystko, że się kocha; że nieszczęśliwy; że się chce zabić; wyleciał gdzieś z rozpaczy i niemogę go odszukać.«

»A Boże! Boże!« jęknęło na wszystkich ustach, a siostry w płacz, a panna Teresa sobie. »A widzisz Dyziu!« wyrzucała matka ojcu jego surowe niepozwolenie się żenić; »a biedny Tadzio! mój Tadzin!« wyrzucały mu wszyscy za nią.

»A dajcież mi pokój!« prosił stroskany ojciec, »niech się żeni, niech robi co chce; któż to myślał; sam lecę za nim, a panu na!« obrócił się do mnie, »może go prędzej zdybiesz«, i dał mi karteczkę z témi słowami: »Niech cię Bóg błogosławi, — żeń się — i nie rób nas nieszczęśliwymi.«

»W tem — a ot Tadzio!« — zawołała zaśmiawszy się radośnie panna Teresa przy oknie, wskazując palcem na ulicę. Wszyscy się rzucili ku oknu, ja za karteczkę i ku drzwiom. Otwiéram, on tuż na mnie potrąca, a ja mu gwałtem wciskam karteczkę do rąk.

»Państwo już tutaj!« zawołał biorąc karteczkę, do zgromadzenia, co odwróciwszy się od okna, wielkiémi, zdziwionémi spojrzało nań oczyma, a zdziwionémi dla tego, bo zamiast rozpaczającego samobójcy, ujrzało go wesołym, śmiejącym i z zupełnem nieuważaniem pomięszania obecnych, chciwie się wczytującym w swą kartkę. »Jakto?« krzyknął nareszcie w zachwyceniu; »Teresin! prawdażto?« pobiegł do niéj i ująwszy szczęśliwy jéj rękę szczérze go w téj chwili cisnącą, wodził wdzięcznym pytającym wzrokiem to po ojcu, to po matce. Starzy zdziwieni równie jak byli kontenci, obrócili się w odpowiedź do mnie i z godnie z całém towarzystwem niepojmującém mego przestrachu a jego wesołości. »No panie Fránciszku«, rzekli, »teraz kolej na pana.« Bóg wie, jaką mądrą minę zrobiłem i pytanie dalej Tadeuszowi podałem. »Tadeuszu gadaj!« Ale Tadeusz co się swoją panną pieścił, dopiéro po długiém moim czekaniu i śmiesznemu wszystkich wypatrywaniu się na mnie, raczył popatrzyć na nas, parsknął śmiéchem, widząc moją smutną postawę i przypominając co było.

»Ach wróżka!» zawołał, »niech żyje!«

»Cóż wróżka, wróżka?« zapytali ciekawie wszyscy starzy i młodzi.

»Wszakżem tu państwo dla zażartowania z niéj prosił«, odpowiedział pan młody. »A byłato zabawka specyjalna! któréj niestety nie chąc się przecie przed wszystkiemi na niebezpieczeństwo narażać, świadkiem i spół-aktorem samego pana Franciszka zrobiłem.«

Zaczęło mi świtać w głowie i obecni na różne domysły padli; a pan Tadeusz się tłumaczył.

Wiedząc, że głównym jéj fortelem zaczynać od ogólników, a podług wróżenia, jaki który z nich zrobi na ciekawego, dalej postępywać tąż drogą, użyłem téż fortelu i udałem, że mi wszystko zgaduje. Byłem już raz u niej, jak państwo wiécie i bardzo rad i szczęśliwy; teraz przyszedłem gniewny, żeśmy długo czekali i niecierpliwy, bom się bał, aby mi przybycie państwa nie popsuło gry mojéj. Z zasady patrzącej mi z oczu burzliwości przeszła na niestałość, zawiedzioną kochankę, drugą nieszczęśliwą miłość, a udawaniem świętéj wiary w jéj przypadkowe zgadnienia w takiem ją fałsze zabłąkał, żem nareszcie aby jéj w oczy śmiéchem nie parsknąć, musiał uciec przed nią i zabawną postawą mego poczciwego ogłupiałego Frania. »Ale«, dodał z spojrzeniem na swoją rozweselającą się dziéwczynę, szczęśliwy skutek wygranéj wszystkie oczekiwania przewyższył—i pamiętny na przysłowie: »Drzéć łyko póki się daje«, postąpił z piękną kochanką ku szczęśliwym starym i klękneli przed nimi. Starym łzy w oczach stanęły, zamiast słowami, których wymówić nie mogli, radośnem uściśnieniem błogosławieństwo im dali. W kilka tygodni drużbowałem na państwa Tadeuszów weselu.

»A wróżka?« zapytały słuchaczki.

»Nie popsuła sobie reputacyję. Jako bowiem prędkie najsamprzód wróżyła Tadziowi ożenienie, a jéj pomyłka głównie do cudownego spełnienia się téj przepowiedni pomogła, tak słusznie sam ten zabawny przypadek podniósł jeszcze bardziéj jéj sławę.

»A czyż nie słusznie do prawdy?« zapytał nadchodzący p. Tadeusz i czule koło swojéj staruszki Tereski się sadowiący, »czyż nie zgadła cudownie? Czyż jéj było nie wierzyć?«

Wszyscy się jednogłośnie zgodzili. *K. S.*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 30. i obejmuje: 1) Jeszcze słówko o wybujaniu zboża. 2) Spostrzeżenia nad biegunką i sparaliżowaniem jagniąt. 3) O praniu bielizny za pomocą pary. 4) O sposobie wyrabiania krochmalu. (Dokończenie). 5) Wiadomości czasowe: *a*) Najlepsza metoda suszenia tytoniu. *b*) Przedmioty i pytania, które na szóstém zgromadzeniu niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych w Stuttgardzie i t. d. (Ciąg dalszy).

W drukarni Piotra Pillera wyszły: *Encyklopedyja dla małych dzieci* tomów dwa. Sąto książki dla szkół normalnych do czytania i tłumaczenia przepisane. Tłumaczenie pana J. J. Szczepańskiego, jest bardzo wierne, a przytém język jędrny i czysty. Wszędzie trafnie oddane rozmaite rodzaje stylu, jak n. p. styl biblijny, psalmowy, naukowy, powieściowy. Tém tłumaczeniem pan S. nie tylko nauczycielom z mową polską mniej obeznanym istotnie się przysłużył, ale razem ochronił dziatwę naszą od popsucia sobie ojczystego języka makaronizmami i obcym tokiem mowy. Zasługa jego jest cicha, skromna, ale korzyść obfitą przynieść może.

Aparat astronomiczny pana Scharff. W małéj, redutowéj sali w Lincu, widzieć można wielki astronomiczny aparat, przedstawiający właściwym i dokładnie skombinowanym mechanizmem podług ustaw natury w ruch popędzaną budowę świata, tudzież mnóstwo odpowiednich aparatów pomocniczych. Pismo pod nazwą: *Der baierische Landbote* mówi o tém co następnje: »Widzieliśmy w tym zawodzie niejedną rzecz w Mnichowie, lecz to sztuczne dzieło należy bezsprzecznie do najcelniejszych jakie tu na widok publiczny wystawiono. Zrobił je pan Scharff z Torunia; jestto owoc dwunasto-letniéj pracy i mozołu. Każdy człowiek nie mający najmniejszych nauk przygotowawczych, może w przeciągu dwoch godzin dokładnie obeznać się z całym związkiem wszystkich niebieskich zjawień wewnątrz systemu planet. — W sposób dziwny i całkiem zrozumiały, pokazuje pan Scharff bieg planet w ogóle, w rozmaitych szybkościach około słońca, w ich odległościach od niego, a mianowicie bieg ziemi wraz z księżycem — słowem wszystko, co o całym systemie świata może dać najdokładniejsze wyobrażenie. Pan Scharff położyłby dla młodzieży wielką zasługę, gdyby z tym kosztownym i w swoim rodzaju jedynym wynalazkiem objechać chciał wszystkie publiczne naukowe zakłady, i życzyćby należało, aby w tym celu od wszystkich instytutów potrzebne uzyskał wsparcie, gdyżby z tąd ta korzyść wynikła, że co nauczyciele o systemie budowy świata z mozólną pracą ledwie przez długi przeciąg czasu swoim uczniom wyłożyć i wyjaśnić mogą, to uczniowie tu przez naoczne przedstawienie z wielką łatwością w przeciągu kilku godzin pojmą.«

W olbrzymiéj oranżeryi w Wersalu rośnie drzewo pomarańczowe, zwane: *Wielki Bourbon*, mające teraz spełna lat czterysta trzydzieści i jeden. Drzewo to jest tak wielkie, iż gałęzie jego drutowemi sznurami przymocować musiano. I długo jeszcze będzie stało, gdyż pomimo tego wieku, jest dotychczas całkiem świeże i zdrowe i zawsze jeszcze z nieprzebraną siłą zdobi się kwiatem i rzęsisty owoc wydaje. Drzewo to zasadzono 1411 roku w Pampelunie, stołecznem mieście Nawarry, z kąd się w 89 lat później do Francyi w darze dostało. Byłoto pierwsze drzewo pomarańczowe we Francyi, i gdy je wieziono, zbiegał się lud ze wszystkich okolic, aby je widzieć.

Nowa wędrówka narodów. Wynoszenie się ludzi z Europy zamieni się z czasem w prawdziwą wędrówkę narodów. Przeszłego roku wyniosło sie z Anglii 118,000, z Niemiec zas przeszło 50,000 ludzi, a wnosząc z obecnéj chęci wynoszenia się, ilość wychodców w tym roku nie będzie mniejszą. Z Hessyi wyniesła się niedawno cała gmina z proboszczem i nauczycielem, a z samej Westfalii wyszło przeszłego miesiąca 260 ludzi.

Kluby w Anglii. Jakkolwiek wielkiego poważania doznaje stan małżeński w Anglii, i jakkolwiek domowe pożycie jest tam bardzo cenione, przecież nie zbywa w tym kraju na osobach bezżennych, z których większa część w stolicy żyje. Otóż dla osób tego rodzaju klub jest bardzo dogódnem miejscem, gdyż aż do pewnego stopnia zastępuje im dom własny. Mogą oni tam bardzo wygodnie cały swój czas przepędzać i używać wiele przyjemności, jakich się tylko w domowém pożyciu doznaje, i jakich kawiarnie francuzkie bynajmniéj nastręczyć nie są w stanie. Przytém i to nie mało się przyczynia do zaludnienia klubów w Londynie, ponieważ *single gentleman* jako członek takiegoż klubu mający kilka set funtów szterl. rocznego dochodu, może kupić sobie takież same wygody i przyjemności jak najbogatszy pan w świecie. Za sześć gwineów rocznego datku, może mieć rok rocznie piękne meble, mieszkać w wytwornie przyozdobionych pokojach, przechadzać się po miękkich wyścielonych dywanach, siedzieć przy wygodnym kominku, używać wybornéj biblijoteki, czytać przy śniadaniu takąż samą ilość, a nawet jeszcze więcéj gazet, i widzieć również liczne i zabawne towarzystwo, jak bogaty lord, mający pięćdziesiąt tysięcy funtów szterl. rocznego dochodu. A jeżeli klubista do tych sześciu gwineów doda jeszcze dwieście albo trzysta dukatów, wtedy ma codziennie śniadanie, obiad i wieczerzę tak wyborną, spija tak przednie wino, porto i klaret, i ma tak punktualną usługę jak którykolwiek wielki magnat w swoim pałacu. Używając tak wielkich korzyści w stosunku za tak małe pieniądze, dziwić się nie należy, że tak wielki jest nacisk osób do podobnego klubu, iż z wszystkich tych, którzy do niego się zgłaszają, zaledwie połowa przyjętą bywa.

Przeznaczenie. Pewien szewc miał dwóch chłopców w terminie, których codziennie z-rana budzić musiał. A że obadwaj chłopcy spali w jédnem łóżku, jeden regularnie od ściany, a drugi z kraju, przeto majster chwytał zawsze za ucho tego, co z kraju leżał i targał tak długo, aż pokąd ten krzykiem swym drugiego nie przebudził. Tak się działo przez całe pół roku. Chłopiec, któremu się nareszcie to sprzykrzyło, rzekł jednego wieczora do swego towarzysza: »Widzisz bracie, iż jestem zawsze umęczony, połóż ty się choć raz na moje miejsce, a ja położę się od ściany, abym choć raz umknął ręki pana majstra« — Towarzysz przychylił się do jego prośby. — Z-rana skoro świt, przychodzi majster, i stanąwszy nad łóżkiem, myśli sobie w duszy: »Zawsze targam za uszy tylko jednego, dzisiaj więc dam mu pokój, a potargam tego, który od ściany leży.« — Jak zamyślił, tak uczynił. — Biedny chłopiec przebudza się z przestrachem, a opamiętawszy się, rzecze: »O nieszczęście!« Nikt swemu przeznaczeniu ujść nie może.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.